

KONRAD T. LEWANDOWSKI

DIABŁU OGAREK



Wydawnictwo RM
Warszawa 2012

Spis treści

1. Piwo podwójnie nawarzone.	7
2. Wieści z szerokiego świata	15
3. Ukąszenie żywiołaka.	27
4. Braciszek Maćko	37
5. Inny świat	53
6. Karczma jezuitów	59
7. Cyrograf z niebiosami	75
8. Duch drzew	87
9. Państwo piekieł na ziemi.	97
10. Worek kości	113
11. Pobożny uczynek	131
12. Istota odwagi	139
13. Świadkowie Ładu.	151
14. Drużyna duchów	167
15. Pałac Sobieskich.	181
16. Warszawskie zaświaty	195
17. Poza wszelką nadzieją	209
18. Przemiany.	223
19. Korzenie zła	237
20. Hetman duchów	255
21. Wieczna Rzeczpospolita	267

1

Piwo podwójnie nawarzone

Lato roku Pańskiego 1641 chyliło się ku końcowi. Zelżały upały. Przez uchylone okno kancelarii sądu ziemskiego w Liwie do izby wpadały pierwsze rześkie powiewy nadchodzącej jesieni.

– Że jak niby? – woźny trybunalski Stanisław Lawendowski upewnił się, że dobrze słyszy. – Tak to tam w istocie stoi?

Asesor Wygonowski uniósł wyżej do oczu kartę z pozwem.

– *Prawowierne wartości duchowe* – przeczytał głośno po raz wtóry.

– W piwie?!

– Ano w piwie. Widać po bożemu uwarzone.

– A spróbowałby który gagatek piwowar warzyć niepobożnie! Zaraz by takiemu mistrz małodobry całą beczkę przez lejek w gardsziel przetoczył, co do kropli.

– Wszakże tu najwyraźniej o coś więcej idzie – stwierdził sędzia. – Ojcowie jezuici twierdzą, że to jawna obraza boska, żeby ich piwa nie pić.

Stanisław podrapał się w głowę i popatrzył na resztę przytomnych na kancelaryjnej naradzie, podczas której układano porządek najbliższych posiedzeń trybunału. Pan podsędek Zajac bawił się przy tym wybornie. Pisarz Jędrzej przeciwnie – z miną człowieka, którego po trzydziestu pięciu latach sądowej służby nic już zadziwić nie może, z piórem zawieszonym nad otwartą księgą wokandy czekał na postanowienie zwierzchności. Co każą – zapisze. Grzesiek Lawen-

dowski, krewniak i aplikant woźnego, nie śmiał odzywać się przy starszych, ale łypał na boki tak zbystrzałymi nagle ślepiami, że nie sposób było nie zgadnąć, o czym młokos myśli i że z góry się na to cieszy. O, niedoczekanie smarka!

– Rzeczą poza granicą ziemi liwskiej, więc to nie nasza jurysdykcja – Stanisław wytoczył od razu najcięższy argument, aby zdusić kwestię w zarodku. – Wszak tu aż za dwie rzeki, za Bug i Narew trzeba jechać.

– Delegacja to dla was żadna nowość – rzucił lekko pan podsedek. – Skoro zaś ojcowie jezuici tak pięknie proszą... – zawiesił głos, dając do zrozumienia, że dobrze wie o wszystkich perturbacjach i zaszłościach pomiędzy urodzonym panem woźnym Lawendowskim a Towarzystwem Jezusowym.

– I w prawie są – dodał asesor Wygonowski. – Wprawdzie Myszewo pod samą pruską granicą leży, ale jednak jeszcze w granicach Księstwa Mazowieckiego. Skoro zaś legalni włodarze miasta o waści proszą, przeszkód formalnych tu nie ma.

Umarł w butach! Grześkowi jeszcze bardziej ucieszyła się gęba.

– Ty nie pojedziesz! – zachnął się woźny, przelewając całą irytację na aplikanta.

– O, wa! – odparował zuchwale Grzesiek. – Drugi raz w zaścianku nad księgami i szpargałami zostawić się nie dam!

Asesor i podsedek nic nie powiedzieli, ale znać było po nich niemą zgodę co do tego, że Stanisław przesadnie oszczędza swojego ucznia i wrodzoną zادیorność chłopaka marnuje. Co było z poprzednim nieborakiem, to było, świeć Panie nad jego duszą! Teraz czas najwyższy, aby Grzesiek bardziej otrząsał się w fachu. Stanisław wiedział to dobrze, a jeszcze lepiej pojmował, że dziś w każdej kwestii przyjdzie mu ustąpić.

– Na Kurpiach prawo bartne znać wypada – nie zamierzał jednak poddawać się bez oporu.

– Ja każdy ichni statut dobrze znam! – oznajmił Grzesiek.

– Prawda – przyświadczył mu pan podsędek. – Trzy dni będzie, jak sam go ze statutów bartnych egzaminowałem. Umny jest i mógłby na ichnionych rokach stawać.

– W karczmach o bigosowanie będzie łatwo... – woźny zaczął zgłaszać kolejne zastrzeżenie.

– Oby prędko! – wykrzyknął ochoczo młodzik. – Przekonacie się, co już umiem!

Woźny zmilczał przechwałkę i wrócił do istotnej materii sprawy.

– Zatem ja mam tam za jezuickim piwem chodzić przeciwko piwu starościńskiemu? – upewnił się jeszcze.

– Z tego, co wiemy, pozew o propinacyję jest obopólny – stwierdził asesor, zerkając znów w pergaminy. – Pan starosta Myszowiecki także skarży ojców jezuitów, że – cytuję – *z despektem dla jaśnie wielmożnego pana starosty nakłaniają chłopów, aby gardzili dworskim piwem i do karczmy duchownej uczęszczali. Dobrym poddanym zaś, panu staroście posłusznym, odmową sakramentów świętych oraz opatrzenia na śmiertelnym łożu grożą, jeśli ci piwo dworskie dalej pijać będą.*

– Co za czasy nastały, że już nawet gęby w pianie umoczyć nie można, jeśli jaki klecha krzyżyka na nim nie położył! – zeźlił się Stanisław. – Gdyby owo piwo dobre było, przymus nijaki nie byłby potrzebny, nadto jeszcze z sankcją zaświatową! Musi to być cienkusz okrutny, niewiele lepszy od tego, co biesy pijają w piekle, skoro takimi kondycjami obwarowywać go trzeba.

– Umartwiać się rzecz chrześcijańska – skwitował pan Zając z udawaną powagą. – Pokuta czyścowa potem lżejsza. Zaczem nie można odmówić ojcom jezuitom, że o dusze owieczek swoich nie dbają. A że im przy tym wątpia i wątroby cokolwiek przenicują, nic to! Chamskie gardła i brzuchy zniosą wszystko – roześmiał się z własnego dowcipu.

Woźnemu wcale nie było do śmiechu.

– Nie dziwi to was aby, że nie pan starosta, ale akurat ojcowie jezuici do trybunału ziemskiego w mieście Liwie się zwrócili, ażeby

ja ich roszczenia przeciw miejscowemu staroście wspomógł? – zapytał.

– Cenią was jawnie! – parsknął pan podsędek. – Skoro aż dziesięć złotych zadatku na opędzenie kosztów podróży przysłali. Słyszana to rzecz, żeby jezuici dawali zamiast brać? Niechybnie na większy profit liczą. Wcześniej narobiliście im szkód niemałych, teraz mniemają zapewne, że się z nawiązką poprawicie...

– Nie ma zwyczaju takie delegacje czynić! – Stanisław palnął pięścią w stół.

– Prawo zezwala dla rozstrzygnięcia sprawy sprowadzać wielomoznych asesorów z innych stron kraju – odrzekł sędzia – a także i pana kata skądinąd wypożyczyć, gdyby go było trzeba. Można więc też zawezwać woźnego trybunalskiego, który godność pośrednią między tymi dwoma prezentuje. Rzadki to przypadek, przyznaję, ale jako rzekłem, przeszkód nie ma.

– Obowiązku też nie – odparł Stanisław. – Odmówić mogę.

– Możecie – przyznał poważnie asesor Wygonowski. – Ale to by było niepolitycznie i nieroztropnie. Mnie też, przyznaję, ta jezuicka intryga niezbyt pięknie pachnie, ale właśnie dlatego wypada dobrze ją powąchać.

– Prawda – westchnął woźny z rezygnacją. – Ale jak na mój rozum, mospanowie, zgadywania tu nie ma wiele. Dowodnie ojcowie jezuici u siebie nikogo odważnego nie znaleźli, ażeby ów pojechał z pozwem do pana starosty, który widać jest surowy człek i w kaszę, znaczy się w piwo, dmuchać sobie nie daje. Zatem wzywają mnie, licząc, że ja pozew doręczę i zaraz potem starościńscy ludzie ukręcą mi łeb. Będą przewielebni mieli dwie pieczenie na jednym ogniu!

– Łba to wy sobie, Stanisławie, ukręcić nie dacie, o tom spokojny – odparł z przekonaniem asesor. – A waszemu Grześkowi trzeba doświadczenia.

– Dobrze już, pojedę i aplikanta ze sobą wezmę, ale jak wy mi wpierw na jedną kondycję przystaniecie – odparł stanowczo woźny.

– Jakiż to macie warunek?

– Oprócz zwykłych plenipotencji dacie mi także instygatorskie upoważnienie dla zbadania zasadności owej skargi i powództwa. Chcę sam się przekonać, jakie to są owe znaczniejsze wartości duchowe, co niby w piwie ojców jezuitów się kryją. Dla kiepskiego piwska karku nadstawiać nie będę, nie honor mi. Zatem jak ino doczesny sikacz okaże się, pozew im wrócę bez dalszego biegu.

– Znacie się na piwie i teologii razem? – zagadnął lekko pan podsędek.

– A bywało nie raz – odparł spokojnie Stanisław – przy piwie kwestie wiary roztrząsać.

– Ponoć w habsburskich krajach – popisał się wiedzą Grzesiek – inkwizycja święta za takowe mędrkowanie nastaje...

– Jędrzeju, otwórzcie okno! – polecił woźny pisarzowi. – Bo nam tu mości aplikant nasmrodził!

– Żadnych wiatrów nie puszczałem! – zaprzeczył Grzesiek, czerwieniąc.

– Nie z tyłka, jeno z gęby, miano Świętego Oficjum wspominając. Pomnij to na przyszłość i nie wywołuj wilka z lasu. Dość tej kleszej szarańczy na południe i zachód od Rzeczypospolitej się wyroiło, jeszcze gotowa do nas przylecieć.

– Pomnę, strytku – zapewnił spostponowany chłopak.

– Zatem postanowione! – asesor skinął na pisarza, który zaskrzyphiał piórem, sporządzając notę w księdze wokandy. – Prześwietny trybunał ziemi liwskiej – zaczął dyktować – bierze pod swoją kuratelę sprawę ojcowie jezuita przeciwko panu staroście Myszowieckiemu o wzajemne naruszenie przywileju propinacji. Dla zbadania słuszności sporu na miejscu tudzież rozwiezienia pism sądowych według swego uznania delegujemy mości pana woźnego Lawendowskiego. Kiedy to, panie Stanisławie, chcecie jechać?

– Zaraz! Juki mamy już spakowane jak do zwykłej służby – odparł ponuro zapytany. – Nie ma tu nad czym dumać, tylko koni dosiadać. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy i ambaras z głowy będzie!

– Ale, ale! Jest jeszcze jedna sprawa – przypomniał pisarz Jędrzej, unosząc głowę znad wokandy. – Zanim tego piwa pokosztujecie, wpierv po drodze mości panu woźnemu do Paplina zajrzeć wypada i tamtejszej dziedzicze doręczyć zalegający pozew w procesie o łęgi i zniesławienie. – Unikając bazyliiskowego wzroku starszego Lawendowskiego, skryba przechera posypał piaskiem świeżo zapisaną kartę dla osuszenia atramentu.

Pan podsędek uśmiechnął się paskudnie, jakby z góry cieszył się na kompromitację pana Lawendowskiego. Ten zaś poczuł, że mu krew jasna do głowy uderza.

– Czort tę babę nadał... – wycodził przez zęby Stanisław. W istocie ledwie nad sobą panował. Jedno przykre zlecenie mógł znieść, ale nie dwa naraz! Tym bardziej go zeźliło, że w głębi duszy liczył, że w zamian za szybkie podjęcie sprawy jezuickiego piwa chociaż ta babska pyskówka mu się upiecze i kto inny pojedzie w zastępstwie. Dłuższa delegacja dawała nadzieję, że w międzyczasie ta rzecz się po kościach rozejdzie, ale nie! Pisarz Jędrzej był zbyt wielkim skrupulantem, żeby nie zauważyć dogodnego zbiegu okoliczności. Panowie asesorzy też nie zamierzali okazywać przesadnej wielkoduszności i ułatwiać woźnemu życia.

– Wyszadzicie ją w powietrze swoim zwyczajem i po krzyku – zakpił jawnie pan podsędek, aż woźnego zaświerzbiała ręka.

– Wdowy wysadzać nie uchodzi – odparł Stanisław zupełnie serio. – Ani z babami wojować. Dobrze to, mospanie, wiecie.

– To niech się Grzesiek wprawia – powiedział asesor Wygonowski i zgarnął ze stołu swoje pergaminy, dając tym samym znak, że radę uważa za skończoną.

Jeszcze tylko pisarz wydobył z akt pozew dla paplińskiej dziedziczki i z krzywym uśmiechem wręczył ów dokument Stanisławowi, który darował już sobie wszelkie komentarze, żeby po próżnicy zębami nie zgrzytać, tylko czym prędzej zawinął się i wyszedł z Grzeskiem na ratuszowy dziedziniec.

Konie czekały już osiodłane. Woźny i jego aplikant, kiedy opuszczali dziś rano rodowy zaścianek, spodziewali się, że w Liwie będzie na nich czekać praca, ale dalibóg nie tak daleko i nie tak paskudna na sam początek.

– Pozwolicie mnie, stryjku, popróbować? – przymilił się Grzesiek. – Wszak to by był mój pierwszy pozew do wręczenia...

– Wiesz ty aby, smarkaczu, o co się tak napraszasz?

– No przecież baby bać się nie będę!

– Ona ciebie też się nie przeleknie, bo wie, że nikt ręki na płeć białogłowską nie podniesie. I że u siebie w domu na wszystko może sobie pozwolić. Choćby nocnik na głowę wylać. Dla niej to nie pierwszozna.

– Wam kiedyś wylała? – zapytał młodzik i od razu przezornie usunął się poza zasięg ręki pryncypała.

– Mojemu poprzednikowi, co pojechał w zastępstwie... – Stanisław darował sobie szczegółowe objaśnianie, w jaki to chytry sposób uniknął poprzedniej misji do Paplina, skutkiem czego w roli woźnego wystąpić musiał pan instygator Połasek, przez co godność jego urzędu, stan szat oraz duma własna doznały nie lada jakiego uszczerbku.

Panią dziedziczkę Paplińską nieprzypadkowo żołą tudzież zgorzelał w całej okolicy przezywano. Baba była iście z piekła rodem, równie niegrzeczna i wredna, co zawzięta. Lecz zajazd na samotną wdowę czynić – zupełnie nierycerska rzecz! W praktyce więc Paplińska poza prawem stała, albowiem póki jakiejś ciężkiej *crimen* jawnie nie popełniła, na wszystko pozwolić sobie mogła, a co tu dużo gadać, babskie warcholstwo najpaskudniejsze. Jak dotąd sposobu na jejmość panią żadnego nie było, poza tym jednym, aby Paplin szerokim łukiem omijać. Ot, wypadałoby złożyć tę zaszłość na karb jezuickiej przewrotności, ale niestety, w tej mierze pomienieni ojczulkowo najzupełniej niewinni byli. Jak pech, to pech!

– To ja może lepiej dla nauki popatrzę, jak stryjek sobie poradzi – młokos zaczął wykręcać się sianem.

Stanisław darował sobie zbędne gadanie, wskoczył na siodło i ruszył przodem na węgrowski gościniec. Liw już podniósł się ze zniszczeń po nalocie planetnika i z pozoru wszystko znów było po staremu. Woźny jednak wiedział i pamiętał dobrze, że to był tylko wstęp do większej katastrofy, sprawionej już nie przez wodę, a wojenny ogień. Fatum wisiało nad tym miastem i nie dawało o sobie zapomnieć.

Do Paplina drogą przez Węgrów i Starą Wieś mieli pół dnia jazdy. Stanisław chciał przez ten czas ochłonać, zebrać myśli i w spokoju pomyśleć o czekającej go pracy, ale Grześkowi gęba się nie zamykała.

- Stryjku, a gdyby tak napuścić na to babsko jakiegoś czorta?
- Tylko tego by brakowało!
- A czemu?
- To jak gaszenie ognia oliwą. Ona zaś prędzej się z tym czortem skuma i dogada, niżli się go przestraszy, a wtedy podwójny kłopot będzie. Nigdy, pomnij to dobrze, nigdy na babę diabła nie nasyłaj, tylko gładkiego anioła, jakby co.
- Czekajcie stryjku, czy to ta sama jejmość, co z niezmiernego skapstwa słynie? Bom coś słyszał...
- Dobrze słyszałeś, synku.
- Ta, co gościom swoim kazała w stodołach nocować, bo u niej we dworze pawiment świeżo umyty i mogliby go jej zdeptać?
- Ta sama. I wiele jeszcze podobnych opowieści o niej krąży. Zdaje się, wszystkie prawdziwe.
- Ale jakże to można gości nie uszanować? Przecież mówi się „Gość w dom, Bóg w dom”...
- Ta widać Boga w sercu nie ma. Na złą wolę nie poradzisz.
- No to jak, stryjku, poradzić sobie z nią zamyślacie? Skoro tu powaga trybunału na nic, siłą nie uchodzi, a i czarów też zażyć nie chcecie...
- Dumam o tym właśnie, a ty mi, smarku, myśli nijak zebrać nie dajesz!

2

Wieści z szerokiego świata

Jakiś czas jechali w milczeniu.

Błonia nadliwieckie straciły już swoją letnią, połyskliwą siwosrebrzystą barwę, stały się zwyczajnie szare, zbladły, zmarniały. W zamian ozłociły się łęgi. Wierzby i olchy połamane dwa lata temu przez rozjuszonego pλανetnika obrosły nowymi gałęziami, które zakryły kikuty konarów, przynajmniej do czasu, nim opadną liście, ku czemu już szło. Powalone pnie dawno zebrano na opał. Zdawałoby się, że wszystko znów jest po staremu, że co ma się zdarzyć, będzie powtórzeniem tego, co dawniej bywało. Jednak niepokój jakiś wciąż szedł od tej ziemi, przestrzeni i wód. Nie wszystko się załagodziło, nie wszystko, co wtedy poruszone, z powrotem osiadło na swoje miejsce. Wypadałoby zajrzeć za furtę zaświatów i popatrzeć, co się tam kroi, ale Stanisław wolał tego nie czynić, żeby znów coś się nie rozchwiało, nie pękło.

Było nad czym rozmyślać, ale więcej niż pół godziny tej zadumy nie było. Grzesiek wyskoczył nagle z nowym konceptem.

– Stryku, a może to owa Paplińska rozpuściła owe diablęta, co ludziom włosy w kołtuny kręca?

– Może tak, może nie – odparł wymijająco woźny, błędząc wzrokiem po bagnach i rozlewiskach rozciągających się wkoło Liwskich Mostów. Niebawem przyjdą długie, mokre późnojesienne noce i znów po zmroku zaroi się tu od utopców, zmór i innych straszydeł.

Dziw brał, ile się tego gnieździło w bezdennych zastoiskach. A wyświęcić ich było nie sposób, co najwyżej po wierzchu.

Wiele wody upłynęło w Liwcu od przypadku, o którym wspominał Grzesiek, ale jak dotąd nie udało się wysledzić sprawcy ani też nikt nie przyznał się do zniszczenia zaklętej sosny z ludwinowskiego lasu, która w klatce ze swoich korzeni więziła kilka tuzinów złośliwych diabłał sprowadzających kołtuny, pypcie i czyraki. Przed wiekami jakiś dobry, arkana znający człek je tam zamknął, a teraz ktoś rozpuścił. Przeprowadzona skrycie instygacja nie dała nic, żadnych poszlak ani choćby plotek. Do tej pory zaś ludzie, jak to ludzie, zaczęli się przyzwyczajać do nowych przykrości i niedogodności. Bodaj już połowie okolicznych chłopów pod czapkami kołtuny zaczęły się kręcić. Delikwenci traktowali to z pokorą, jak dopust boży, choć ręki boskiej ani nawet czubka bożego palca jako żywo w tym nie było. Trudno przychodziło dać wiarę, aby zrobił to ktoś z miejscowych, na szkodę własnej rodziny oraz współziomków. Dlatego Stanisław rozpytywał głównie o obcych przyjezdnych, osobliwie magią się parających, swojaków zaś, choćby i z największego warcholstwa słynących, o ten czyn nie podejrzewał. Zatem, na zdrowy rozum biorąc, chłopak tak całkiem od rzeczy nie mówił. Należało tę rzecz wybadać wcześniej.

– Ona mieszka blisko Ludwinowa i powód mogła mieć – Grzesiek tymczasem coraz bardziej zapalał się do swojej teorii. – Ot, choćby kołtuny na swoje sąsiadki sprowadzić. Baby, jak się prowadzą, nie takie uroki potrafią na siebie rzucać! – oznajmił z miną znawcy niewieściej duszy.

– Taka supozycja daleko cię nie zaprowadzi – woźny uciął te dywagacje. – Najprędzej przed trybunał za obmowę, jeżeli gdzie przy ludziach podobną plotkę rozpuścisz.

– Toż ja tylko ze strykiem o tym mówię! – zastrzegł się aplikant. – A zdaje mi się, że tu czarodziejskiej instygacji wcale nie robiono. W zaświatach nikogo nie pytaliście...

– Dość było z tym kłopotów – mruknął woźny. – Mądrze było odpuścić.

Latem 1639 roku nad Liwem, Węgrowem i kilkoma okolicznymi miejscowościami przez głupotę i chciwość rozpętano czarodziejski kataklizm, skutkiem którego na pewien czas zniesione zostały granice między ziemskim światem a zaświatami. Ład ledwie co, z dużą biedą udało się przywrócić i od tej pory Stanisław poniechał czynienia w rodzinnych stronach magicznych praktyk, których wcześniej zwykł zażywać dla zmiękczenia hardości co poniektórych adresatów pozwów. Gdyby nie to, w istocie, przywołałoby się jednego czy drugiego mieszkańca nadprzyrodzonych rewirów i zapytało go, kto stoi za wypuszczeniem z sosny dokuczliwych diablików. Takie rzeczy oni tam zawsze wiedzą. Jednak w zamian za wskazówki mógł powstać nielichy problem z odesłaniem pachnącego siarką interlokutora z powrotem, skąd przybył. Dość rzec, że w rzeczce Osownicy, w której dnie wskutek zakłócenia magicznego obrzędu pozostała nieodmknięta szczelina do piekieł, ustał ruch wód i wyzdychały wszystkie ryby. Wartka niegdyś struga zmieniła się do dziś w rów przypominający stęchły rynsztok. Rozstaje Wód utraciło swą moc.

– Ale teraz to chyba można by już...? – kusił Grzesiek, jawnie ciekaw rytuału, którego jeszcze nigdy nie oglądał, a jedynie znał z powieści. – Może już wszystko ustało się na powrót?

– Albo i nie ustało – mruknął woźny, czując wszakże, że tej supozycji zbagatelizować nie zdoła. Wyglądało na to, że chłopak miał nosa. Paplińska w istocie być mogła!

Stanisław wstrzymał konia, sięgnął do sakwy po pozew, który miał w Paplinie doręczyć, i uważnie przebiegł pismo wzrokiem. Skarżącym był urodzony pan Malicki, posesjonat na sąsiednim majątku Stoczek. Ów szlachcic występował w imieniu swej małżonki, pomówionej przez dziedziczkę Paplina o uprawianie czarów, które jakoby miały prowadzić do przeciągnięcia na swoją stronę granicy spornego łęgu, a ściślej mówiąc: *przepędzenia drzew modą taką, jako się stado krów przepędza...* Wykazanie, że ów łęg

prawowicie należy do majątku Stoczek, stanowić miało w tym przypadku podstawę dla wykazania niewinności jejmości pani Malickiej i tym samym dowieść despektu dla jej dobrego imienia. Po cóż bowiem pani na Stoczku miałyby się czarów imać, aby wziąć, co jej?

– Czytajże – woźny podał dokument aplikantowi.

– Ot, pyskówka – podsumował po chwili Grzesiek tonem starego wygi. – Wzmiankują tu, że o ten głupi łęg oni już ze trzy pokolenia się sądzą.

– No właśnie, a teraz nagle sprawa znów na nowo rozdmuchana, jak myślisz, dlaczego?

– Nie wiem, stryжку. Nie mam waszego doświadczenia.

Woźny skwitował pochlebstwo kwaśnym uśmiechem.

– Bo wiadomie o coś innego tutaj chodzi. Poprzednim razem koszty trybunalskie daleko wartość owego łęgu przeszły, więc obie strony pokój sobie dały. Sprawa z wokandy zeszyła nierozstrzygnięta, niby też i nie umorzona, ale nowych terminów nie wyznaczano – i tak sobie minęło ponad trzydzieści lat. Aż tu nagle wszystko znów od nowa. Przyczyna jakaś po temu musi być.

– Ale w pozwie nic o tym.

– Dlatego my wpierw do Malickich pojedziemy i ich wypytamy. Nie chcę powinności swojej czynić po omacku, nie wiedząc, co się za tym kryje.

– Będziemy, stryжку, własną instygację czynić?! – ucieszył się chłopak.

– Ano tak.

– A czy mamy na to plenipotencję? Bo wszak tylko na sprawę jezuickiego piwa pan asesor przystał, ażeby zasadność skargi badać.

– Jeden pozew mniej, jeden więcej...

– To można tak chytryć?

– Żadnego chytrzenia ani krętactwa w tym nie ma! – odrzekł stanowczo woźny. – Pomnij to, że służymy sprawiedliwości rozumnie, zgodnie z honorem, a nie jej ślepych narzędziami jesteśmy. Sprawiedliwość ma iść przed prawem, nie odwrotnie! I na to myśmy szlachta,

aby tego dopilnować. Zatem pan asesor mnie wiarę dał, a ja według sumienia mojego korzystać z jego zaufania będę. Ty, smarku, sam żeś przed chwilą podejrzenia rzucał, więc tobie pierwszemu przystoi ich słuszość sprawdzić.

– To co robimy, stryjuku?

– Pogoń konia! Przez Starą Wieś musimy czym prędzej przemknąć, żeby nas panowie Radziwiłłowie serdecznie nie ugościli...

Jawnie z jasnie wielmożnymi litewskimi sąsiadami żadnego sporu nie było. Stosunki zaścianka Korzeń z położoną niemal na przeciwległym brzegu Liwca radziwiłłowską rezydencją układały się z pozoru wzorowo. Więcej nawet, panowie książęta po zaszłościach sprzed dwóch lat jakby łaskawsi i uprzejmiejsi dla rodu Lawendowskich się zrobili, aczkolwiek tylko głupi mógł wątpić w to, że za serdecznymi uśmiechami magnatów wyszczerzone wilcze kły się kryją. Jeden fałszywy ruch, jeden powód, pretekst choćby, a Bóg jeden wie, co się dalej stać mogło. Dlatego teraz Lawendowscy omijali dobra Radziwiłłów, kiedy i jak tylko mogli, ale i to z ostrożną, aby nijakiego despektu i lekceważenia dla odmiany zarzucić im nie można było. Magnaci pamięć mają długą, więc chociaż niejawnie wystrychnięto ich na dudka, to o jakimkolwiek puszczeniu spraw w zapomnienie nie mogło być mowy. Przynajmniej nie w tym pokoleniu.

Minęli więc galopem pałac w Starej Wsi i dopiero za Borzychami zwolnili, dając wierzchowcom wytchnienie. Zaraz potem pokazał się Paplin. Tutaj przystawać na razie nie zamierzali. Tylko z daleka, acz uważnie zlustrowali majątek, do którego mieli dostarczyć pozew przed wyprawą za Bug.

Dwór otaczał szczelny płot, deska przy desce zbity, a do tego jeszcze obrośnięty gęsto ostem, jeżynami, różą dziką i tarniną oraz pewnie każdym innym kolczastym zielskiem, jakie pospolicie w Polsce widywano. Charakter właścicielki oddawało to lepiej niż herb.

Brama, choć dzień biały, była zamknięta na głucho.

Już samo to dziwnym było i źle o pani dziedzicze świadczyło, a jeszcze gorzej o jej gościnności. Dla wędrowców zdronionych

każdy szlachecki dom, jak Sarmacja Sarmacją, zawsze stał otworem, już z daleka panów braci zapraszając. Bramę zamykało się na noc przed złodziejami albo w czasach niespokojnych. Tu i teraz ani jedno, ani drugie w grę nie wchodziło. Słowem nie po polsku to było i nie po bożemu.

– Może to Żydowicha jaka? – wyraził przypuszczenie zde gustowany Grzesiek.

– Z urodzenia być nie może, ale z charakteru to nawet gorzej – stwierdził cierpko Stanisław. – Znam ja takie niewiasty żydowskie, które by za podobne porównanie ciężko obrazić się mogły.

– A może byśmy tak, stryjkę, załatwili sprawę luterskim sposobem? Przybijmy jej pozew ćwiekiem do tej bramy i niech ma!

– Ona powie potem, że nic nie dostała i nie wie, jakoby przed trybunałem miała się stawić. Bo może coś tam na bramie było albo i nie było. Nie wiedzieć kiedy, samo odpadło i wiatr gdzieś poniosł.

– Skwitowania sygnetem rodowym ona też wam nie da, a przecie niewieście palców nie utniecie, aby pierścienia dostać...

– Musimy zrobić tak, aby przy zacnych świadkach ona nasze pismo do ręki wzięła. To wystarczy.

– Skądże weźmiemy owych świadków, stryjkę?

– Potem pomyślimy, teraz skracaj zaraz w prawo na trakt ku Stoczkowi. Przekonamy się z kolei, jakże tamtejsi gospodarze zwykli gości traktować.

W Stoczku zastali wszystko jak należy. Brama była rozwarta na oścież, a ledwie zajechali przed dom, powiadomiony przez pacholika pan Malicki, jegomość tęgi, w buraczkowym kontuszu stanął na gan ku, kręcąc wasa i kordialnie witając przybyszów. Tylko zdążyli zsiąść, a już dziewczka służebna, nadzorowana przez jejmość panią Malicką, wyniosła im zimne piwo dla przeplukania gardeł „z kurzu gościńca”.

Dwór był stary, ale nadzwyczaj dobrze restaurowany. Ściany świeżo pobielone, gont olchowy, z pewnością nie dalej jak pięć lat temu położony, dopiero co tu i ówdzie chwycił go pierwszy mech. Tyl-

ko z zaczernienia dębowych kolumn przy ganku można było wnioskować o starożytności tego domostwa. Stanisław dawał mu co najmniej dwa wieki.

Nikt ich o nic nie zapytał, zanim kufli do dna nie osuszyli i nie odsapnęli. Dopiero wtedy Stanisław, otarłszy pianę z ust, przedstawił z imienia i urzędu siebie oraz swojego aplikanta.

Pan Malicki nie przestał się uśmiechać. Skoro przybysze od razu przyjęli poczęstunek, było jasnym, że przychodzą w dobrej wierze. Z czym dokładnie, o to jeszcze będzie czas zapytać. Co nagle, to po diable! A w tym domu widomie z piekłem się nie kumano.

– Zachodźcie, waszmościowie! W samą porę na obiad! – zaprosiła ich rumiana gospodyni. – Bardzo będziemy wam radzi!

Służba na jedno pańskie skinienie natychmiast zajęła się zdrożonymi końmi. Stanisław i Grzesiek weszli do dworu, gdzie zaraz poprowadzono ich do stołu jadalnego. Podano żur i żeberka wieprzowe. Po jedzeniu zaś stanął dzban zacnego gryczanego dwójniaka, z własnej pasieki, co podkreślił gospodarz. I tak przystąpiono do rozmowy, najpierw o zdrowiu członków obojga rodziny, potem o zbiorach tegorocznych, a wreszcie o polityce.

Słowem, państwo Maliccy od pierwszych chwil sprawiali niebywale zacne wrażenie. Oboje byli już dobrze posunięci w latach, dorosłe ich dzieci dawno z domu wyszły, córki za mężami, a dwóch synów – do wojska królewskiego. Małżonkowie mieszkali teraz sami, ciesząc się wizytami wnuków. Z pewnością domyślali się, że wizyta woźnego trybunalskiego musi mieć jakiś związek z wzniesionym przez nich pozwem przeciw Paplińskiej, ale nie zdradzali żadnej niewczesnej ciekawości, na pierwszym miejscu stawiając dobry obyczaj. Już samo to ukazywało w złym świetle każdego, kto chciałby im dokuczyć. No bo dlaczego i za co?

– Cóż tam, panie bracie, na wojnie niemieckiej słyszać? – zagadnął gospodarz Stanisława przy drugiej kolejce miodu. – Po świetle z urzędowymi sprawami krążycie, pewnie coś więcej wiecie. Skończy się ta wojna aby kiedy, jak myślicie?

– Wieść niesie, że Szwedzi z nowymi siłami na Śląsk i Czechy wkrótce mają ruszyć – odrzekł woźny. – Znów pewnie spustoszą do cna oba te kraje, ledwie jako tako podniesione z upadku po poprzednich kampaniach.

– Iście czterej jeźdźcy Apokalipsy w tę i nazad po tych Niemczech krążą – stwierdził pan Malicki. – A śląskiego ludu żal, boć to przecież Polacy jako i my. Od matki Korony odłączeni poniewierkę od obcych znosić muszą.

Pani Malicka przeżegnała się ze smutkiem.

– Czemu to nasz król się za nieszczęsnymi nie ujmie? – zapytała.

– To by znaczyło, serce moje, że i Rzeczpospolitej przyszłoby do tej dzikiej zawieruchy się przyłączyć, od czego nas, Boże, zachowaj! – wyjaśnił jej mąż. – Jednak lepiej, że my bezpieczni, jakby z brzegu morza na wzburzone oceany patrzymy. Francja takim odległym spectratorem być nie chciała, wtrąciła się w tę awanturę i teraz lud tamtejszy ledwie zipie podatkami wojennymi obłożony.

– Francuzi właśnie na Hiszpanów idą – oznajmił woźny najnowsza nowinę, zasłyszana parę dni temu w Liwie, w karczmie u Wampija. – Korzystają z tego, że w Hiszpanii w zeszłym roku wielki zamęt powstał. Galeony z kruszcami z Ameryki nie dopłynęły i ponoć do licznych rozruchów oraz buntów całych prowincji doszło. Portugalia i Katalonia posłuszeństwo wypowiedziały, a na tym ogniu Francja pragnie własną pieczeń upiec. Zatem już nie protestanci z katolikami, ale dwa katolickie kraje wzajem we krwi topić się będą. Iście świat ku szaleństwu zmierza! Nie dość, że kresu tej wojny nie widać, to ona coraz głupsza i krwawsza się staje.

– Jaka w tym intrata? Jaka korzyść dla kogo? – zdumiał się pan Malicki.

– Chyba tylko dla kruków i psów na pobojowiskach żerujących – stwierdził woźny. – Ale jest też i lepszy pożytek, bowiem teraz, tak sobie myślę, że takowego *exemplum* starczy całemu światu za dowód, że ustrój naszej Rzeczpospolitej najlepszy i najrozumniejszy.

- Wypijmy za to! – wzniosł pucharzek gospodarz.
- Oby młody ksiązę pruski co prędzej tę prawdę zrozumiał! – do-
kończył myśl Stanisław i wychylił swój miód.
- A cóż z nim? – spytał zaciekawiony pan Malicki, ocierając wąsy
po toaście. – Bośmy tu wprawdzie słyszeli, że w Prusiech Książę-
cych nowy pan nastał, ale mało co więcej poza tym.
- Pruski dziedzic chyba zanadto się zapatrzył na ową Portugalie,
co właśnie z Hiszpanią rozwód wzięła – odparł woźny. – I teraz on
nie kwapi się posłuszeństwa należnego naszemu królowi Wła-
dysławowi okazać.
- Hołd odwleka? – zdziwił się pan Malicki.
- To rzecz pewna – przyświadczył woźny. – Wszak już półtora
roku z górą minęło, jak kurfirst Fryderyk Wilhelm stolec książęcy po
zmarłym ojcu objął, lecz jak dotąd do Warszawy zupełnie mu nie-
spieszno. Poznałem niedawno w Węgrowie kupca z Gdańska, który
owego księcia spotkał i opowiadał, że nader dziwny to z usposobie-
nia młodzian.
- A cóż to w nim takiego dziwnego?
- Osobliwym zbiegiem okoliczności młody ksiązę tyle lat sobie
liczy, ile trwa niemiecka wojna. Rzec by można, że poczęty został ra-
zem z nią, a to nie wróży dobrze... Stary ksiązę Jerzy też czegoś swe-
go pierworodnego nie uważał, bo choć innego, prawowitszego
następcy nie miał, młodego Fryderyka od nauki rządzenia jawnie od-
suwał. Jakby się go obawiał.
- I co ten młodzik porabiał dotąd?
- Ponoć jako inni nauki w Niderlandach pobierał. Ale mówią też,
że pola wojennych batalii dziwnie chętnie odwiedzał. Niby po to, aby
los nieszczęsnego swego ludu brandenburskiego dobrze poznać, ale
słyszałem też taką plotkę, że czarownik jakiś w orszaku mu towarzy-
szył i na nieobeschłych jeszcze z krwi pobojowiskach zdarzało im się
nocować. Ile w tym prawdy, nie wiem. Jednak dziwnym mi się wyda-
je, że młody ksiązę, napatrzwszy się na psy trupami się żywiące, nie

zechciał tym skwapliwiej pod bezpieczne skrzydła Rzeczypospolitej podążyć.

– Oby co gorszego z tych psich uczt nie wynikło! – wtrąciła zafrasowana gospodyni.

– A cóż masz na myśli, serce moje? – zagadnął jej mąż.

– Niedobre przeczucie mnie nagle naszło – westchnęła pani Malicka. – Kiedy wspomnieliście, panie woźny, o tych psach, taka mi myśl zaświtała, że jaki zły duch wpierw dobrze trupim mięsem wykarmiony po tej wojnie niemieckiej chudnąć nie zechce...

– Bóg złego nie dopuści, serce moje! – pocieszył ją gospodarz i zwrócił się do woźnego. – Takie frasunki co rusz małżonkę moją nachodzą, od kiedy nasze z Paplinem przykrości się zaczęły. A nie uwierzylibyście, jaka wcześniej z niej była trzpiotka radosna.

Stanisław odstawił swój kielich i odchrząknął z powagą, dając znak, że do istotnej kwestii zamierza teraz przystąpić.

– Wasz pozew wkrótce doręczyć zamierzam, ale z trybunału dano mi możliwość zapytać, czy aby się tej sprawy polubownie zakończyć nie dało.

– My byśmy i za tym byli – zapewnił pan Malicki, a jego żona skwapliwie pokiwała głową. – Procesy nam nie w smak, chętnie byśmy po chrześcijańsku wybaczyli, gdyby tylko wpierw pani na Paplinie kalumnie swoje odwołała.

– A o cóż tu właściwie poszło? – zapytał woźny z urzędową powagą.

– O żart niewczesny – załamała ręce pani Malicka. – Przygadałam ja Paplińskiej o tych gości, nie gości, co tam u niej niby bywają.

– Z kościoła akurat wtedy wychodziliśmy i jak to zwyczajnie przy takiej okazji sąsiadów się witało i zagadywało – pan Malicki zaczął objaśniać od początku i po kolei. – Ktoś tam wtedy wspomniał, że poprzedniej nocy przed domem u Paplińskiej karetę bogatą widziało, a rzecz to niezwykła, bo pani owa zawsze z natury była gościom niechętna. Ciekawość więc wszystkich brała, kogo to przyjmowała

i jaki interes w tym miała, no i dlaczego akurat po nocy. A że pomieniona akurat przechodziła mimo, tośmy ją zapytali.

– I o taki drobiazg poszło? – zdziwił się woźny.

– Paplińska się wyparła – mówił dalej pan Malicki. – Rzekła, że nijakich gości u niej nie ma i nie było, że pewnikiem komuś ta karetka po pijaku się przywidziała. Na to moja jejmość, która, jako rzekłem, trzpiocią ma naturę, przewrotnie wzięła stronę Paplińskiej, wołając, że ona prawdę mówi, że żadnej karety u niej we dworze istotnie być nie mogło. Kiedy zaś zapytano, czemu, moja duszka na to, że przecież u Paplińskiej brama zawsze zawarta i podjazd chwastem zarosnięty, co każdy sam zobaczyć może, więc niechybnie karetka owa musiałaby jak ptak jaki, z powietrza nad jej płotem przybyć... Ot, faccja zwykła, wszyscy się z niej uśmieli, tylko nie Paplińska, ta usta zacięła, obróciła się na pięcie i poszła sobie bez pożegnania. Parę niedziel potem zaczęły się plotki i pomówienia, że serce moje... – pocałował zmieszaną żonę w rękę – czarostwem szpetnym się para. Że niby sztuką tajemną sprawia, że olchy z łęgu, o który dziad i ojciec mój z Paplinem z dawien dawna się procesowali, przy pełni księżyca dostają nóg i przechodzą, stąpając na korzeniach, na naszą stronę granicy. Leż to jest, jak mi Bóg miły! *Verbum nobile* daję! Bo cały ów łęg w granicach włości naszych się znajduje, a granica dóbr przy jego południowym, a nie północnym skraju biegnie. Tego wobec trybunału zamierzam teraz dowieść, aby dobre imię i cześć małżonki mojej oczyścić! Czarami w naszej rodzinie nie parał się nigdy nikt!

– Jesteście pewni, że to wszystko przez tę debatę o karecie poszło? – upewnił się woźny.

– Długo wcześniej, a nigdy potem żeśmy się z panią Paplińską nie widzieli, więc nic innego z naszej strony jej ubóść nie mogło.

– Doprawdy dziwna sprawa... – zamyślił się woźny – by o taki drobiazg zadawniony spór powtórnie wszczynać.

– Ale tak było! – zapewnił pan Malicki. – Zawsze żeśmy żyli w pokoju ze wszystkimi sąsiadami, a tu na stare lata taka sromota

przyszła! Inaczej być nie mogło, jak tylko do prawa i do trybunału się odwołać!

– Nie dziwię się waszmość państwu – zapewnił kurtuazyjnie woźny.

– Ale ponoć chodzące drzewa w tych stronach już bywały – wyskoczył niespodziewanie Grzesiek. Nie pytany o nic, samowolnie przy starszych głos zabierając, zasługiwał na surową reprimendę, ale nim Stanisław zdążył do niej przystąpić, pan Malicki niespodzianie zgodził się z młokosem.

– Dlatego właśnie ludzie tutejsi tym pomówieniom wiarę dają – odrzekł. – Bowiem choć od pokoleń nikt stąpającego drzewa nie widział, wciąż się tu o nich dobrze pamięta. Ponoć ostatnią z rodu chodzących drzew była owa sosna z Ludwinowa, co ją dwa lata temu jacyś niewiadomi zbóje ścięli. Ale ona mało się ruszała, bo w korzeniach jak w garści trzymała diablęta psotne, które potem wszędy się rozlażyły na ludzką szkodę.

Stanisław skinął głową na znak, że zna tę sprawę dobrze.

– Dziękujemy z serca za poczęstunek! – powiedział, wstając zza stołu. – Ale nam już czas w dalszą drogę.

– Do Paplina? – upewniła się gospodyni.

– W trybunalskiej służbie – odparł wymijająco woźny.

Państwo Maliccy wymienili się spojrzeniami i już o nic nie zapytali.

3

Ukąszenie żywiołaka

Do zmierzchu zaczęli czekać w lesie, a kiedy się ściemniło, zostawili konie uwiązane na skraju drzew, ruszyli skrycie pod papliński dwór. Woźny nie zamierzał jeszcze pozwu wręczać. Chciał na razie wy badać teren i sprawdzić, którądy można tam wejść, a kędy uciekać, jakby co. Doświadczenie mu podpowiadało, że tu nie chodzi o zwykłą ludzką nieżyczliwość i pychę, które pani Paplińska widać miała we krwi. Jasne już było jednak, że skoro do kościoła chodziła jak inni, to nie mogła być ani opętana, ani zaprzędana diabłu jako czarownica. Jakaś tajemnicę skrywała bez dwu zdań!

Zwykle najlepiej kogoś ze służby domowej w tej mierze na spytki wziąć i prośbą, groźbą bądź srebrem nakłonić do dania relacji o zwyczajach pani dziedziczki. Ale w tym przypadku to na nic. Swego czasu znieważony przez Paplińską instygator Połasek próbował dochodzić zadośćuczynienia swej hańby. Doręczenie, w trakcie którego ucierpiała jego godność, było mimo wszystko ważne, więc gdy Paplińska stawiała się w Liwie przed trybunałem, sędzia zarządził rozszerzenie pozwu o obrazę urzędnika trybunalskiego. Jednak choć rzecz stała się na oczach sług gospodyni, którzy na dodatek przynieśli napełnione na powrót w wychodku nocnik, ażeby ta mogła go własnoręcznie wylać na głowę instygatora, to jednak świadków zniewagi nie dało się formalnie wyszukać. Wzburzony pan Połasek nie zapamiętał dobrze żadnej twarzy, a każdy z zawezwanych przed oblicze trybunału zaprzysiągł się, że akurat jego przy tym nie było

i ręki do tego szpetnego uczynku nie przykładał. Ktoś z nich na Pismo Święte przysięgał krzywo, to pewne, wszelako przed potępieniem wiecznym nie zadrżał nikt. Lojalność sług wobec pani była tu więc iście ekstraordynaryjna, całkiem jakby Paplińska nie tylko ziemską dziedziczką, ale także panią ich dusz nieśmiertelnych była. Żadne przestrogi ze strony osób duchownych nie pomogły. Dziwne doprawdy to wszystko.

Trzymając się cieni przy drodze, Stanisław i Grzesiek ruszyli w płaszczach z kapturami na głowach, żeby w razie okrzyczenia udawać żebrzących mnichów szukających noclegu, a wiedzieli z góry, że tu go na pewno nie dostaną, więc ryzyka zdemaskowania nie było. Tak podeszli pod dwór i zaczęli go obchodzić, idąc wzdłuż płotu z biegiem Liwca i wypatrując jakich dziur lub ścieżki w kolczastej gęstwinie. Bez wielkiej nadziei na powodzenie, ogrodzenie było na to zbyt zwarte i dobrze utrzymane, ale *pro forma* sprawdzić należało. Dwór przylegał do rzeki, była więc nadzieja, że przy samym brzegu jakiś przesmyk się znajdzie. Albo i wprost przez wodę, jednak to wydało się zbyt proste. Liwiec nie wszędzie miał dwie piędzi czy łokieć głębokości, bywały w nim i głębokie podwodne zapadliska, które niejednego zbyt pewnego siebie pływaka pochłoneły. Zapewne dlatego akurat to miejsce na domostwo wybrano.

W oknach dworu połyskiwało, ale jakby nie od świec zapalonych. Światło dobywało się stamtąd wątłe, fosforyczne, jakby od próchna. W obejściu żywizny żadnej, nawet psa się uświadczyc nie dało, chociaż takowy, szczególnie zły, całkiem dobrze by do tak niegościnniej gospodyni pasował.

– Stryjku, tutaj! – zawołał nagle półgłosem Grzesiek. – Tu da się przeleźć! – Chłopak pokazał luźniejsze miejsce w otulającym płot gąszczu.

– Nie da się – stwierdził Stanisław, przyjrzawszy się lepiej. Naraz uderzył go unoszący się tutaj zapach bujnej roślinności. Woń była ziołowa, mocna, jakby rozgrzanego w pełnym słońcu zielska, zwy-

czajna dla łąki w środku lata, a przecież lato już minęło i chłód wieczorny doskwierał coraz wyraźniej.

– Wy może nie poradzicie, boście za mało zwinni – odparł zuchwale młokos i wyjął nóż. – Starczy parę gałęzi uciąć i do płotu dojdę, a potem górą dam radę.

– Zaczekaj! – wstrzymał go woźny, któremu właśnie w tej chwili wszystkie poszlaki i przesłanki złączyły się głowie w jedną zaskakującą supozycję. – Musimy zrobić próbę, czy to aby nie jest.. – nie dokończył, bo Grzesiek go nie posłuchał.

Aplikant wlaźł prosto w gąszcz i chlasnął na odlew pierwszy zawadzający mu badył.

Krzaki otulające płot zafalowały jak od porywu wichury, choć powietrze wokół ani drgnęło.

– Rzuć nóż! – syknął woźny, pojmując poniewczasie.

– Potrzebny mi – zaoponował Grzesiek. – Zaplątałem się...

– Rzuć, ale już!

– Czemu? Co to?! – w głosie aplikanta zabrzmiało zdumienie i lęk. – To się rusza... jak żywe... Chwyta mnie!

– Rzuć ten nóż, durniu! – warknął Stanisław zdenerwowany w najwyższym stopniu.

Kolczaste pędy tarniny ruszały się jak macki ośmiornicy, jedna po drugiej sięgały w kierunku chłopaka i wczepiały się w jego ubranie, oplatając coraz szczelniej. Nagle koniec jednego z pędów wygiął się w łuk, potem drugi, położony tuż nad pierwszym, i oto z gałęzi samostannie wypłotła się szczeka z zuchwą, w których za zęby robiły najeżone kolce i ciernie. Owa roślinna paszcza zakłapała energicznie tuż przed twarzą Grzeška, kołysząc się jakby na cienkiej smoczey szyi, którą stanowiła reszta gałęzi.

– Co to jest?! – jęknął przerażony aplikant.

– Żywiolak! Rzuć natychmiast nóż i zamilcz! Jeśli drugi raz go draśniesz, będzie po tobie! Rozdrapie cię i zagryzie!

Chłopak posłuchał wreszcie. Upuścił ostrze pod nogi. Tymczasem z nowego pędu, tym razem dzikiej róży uformowała się kolejna pa-

szcza z zębiskami z trójkątnych kolców, całkiem jak u rekina. I ta też zbliżyła się do zmartwiałego Grześka, szukając go wyraźnie. Żywiołaki składały się z wielu różnych roślin zrosniętych w jeden magiczny organizm, jakby w żywioł zieleni, stąd poszła ich nazwa.

– On nie ma oczu ani nosa, więc nie widzi cię ani nie wywęszy – szeptał uspokajająco woźny. – Za dnia dostrzega tylko cienie na swoich liściach, w nocy jest całkiem ślepy. Słyszy słabo, ale jak się zaczniesz drzeć, pozna, gdzie jesteś. Czuje zaś najlepiej, więc nie szarp się i nie broń, to cię za czas jakiś wypuści...

– A kiedy puści?

– Jak się przekona, że nikogo tu nie ma. Jedna gałąź mogła mu się przypadkiem złamać, choćby od wiatru lub przebiegającego mimo zwierza, ale gdybyś więcej w jednym miejscu uszkodził, żywiołak pozna w tobie wroga i zabije. Wszystko będzie dobrze, tylko się nie szarp. Stójże spokojnie!

Opleciony kolczastymi gałęziami Grzesiek rozluźnił ramiona i zwiesił głowę, ale nie wytrwał w tej pozycji więcej niż kwadrans.

– Długo mam tak stać? – zniecierpliwił się.

– Może do rana – odparł woźny. – Dla roślin czas płynie wolno, one nie znają pośpiechu.

– Nie możecie mi co poradzić?

– Mogę, a jakże. Słuchaj się mnie, smarkaczu, na drugi raz!

– Ale jakże ja tak przez całą noc stać będę? Zróbcie coś, stryjk!

– Spróbuję, ale musimy poczekać, aż żywiołak się bardziej ułagodzi.

– Podpalcie, stryjk, to lichy! Gdzieś z boku, to ode mnie się odcepi!

Powiedział to zbyt głośno. Obie roślinne paszcze skoczyły ku niemu, ewidentnie na oślep, ale ta różana kłapnęła swymi kolcami zaledwie trzy palce od policzka aplikanta.

– Byłeś głupi, to teraz cierp... – szepnął Stanisław.

– Skąd mogłem wiedzieć? – w głosie chłopaka znać było szczery strach.

- Powiedziałbym ci, gdybyś się nie pchał na oślep.
- To było mi rzec zawczasu...
- Za późno się spostrzegłem. Żywiolaków w naszych stronach dotąd nie widywano. Zwłaszcza nigdy dotąd niczyich domostw nie obrastały.

- To ma być dla mnie pociecha? Zróbcie coś...

Wyglądało na to, że trzeba coś zrobić, chcąc nie chcąc. Żywiolak wciąż był podrażniony. Nie było żadnej pewności, że do rana się uspokoi. Zanim nabierze przekonania, że trzyma, dajmy na to, pień drzewa, które zważyło się nań przypadkiem i już nic więcej mu nie złamie, mogło minąć nawet kilka dni. Grzesiek na pewno tyle nie zdzierży, prędzej zrobi coś głupiego. A roślinne kolce imitujące kły dzikiego zwierza prędkiej śmierci nie przynosiły, rwały ciało nieudolnie, po trochu, okrutnie przedłużając męki ofiary. Pół biedy, że żywiolaki nie umiały gonić, ale jeśli się samemu w ich gąszcz wlażyło i je rozdrażniło, nie było pardonu.

Ogień nie wchodził w grę. Żywiolak zacząłby się miotać, a gałęzie pętające Grześka zacisnęłyby się na nim kurczowo. Mogłyby chłopakowi połamać żebra lub zadusić szyję. Siekać go z innej strony też nic by nie dało. Słowem – trzeba było z chwastem po dobroci.

Po namyśle woźny znalazł sobie suchy patyk i manipulując nim delikatnie, odczepił pierwszą więc trzymającą Grześka za rękaw. Gałązka owinęła się wokół kijka jak wąż, dała się przenieść na bok, ale już go nie puściła. Należało więc wziąć kolejny patyk, nim odczepić następną i tak dalej... Dobrze, że przynajmniej noc była jasna, księżycowa, bo tej mozolnej roboty zapowiadało się na długo.

W połowie tej operacji, koło północy, we dworze zaskrzypiały nieoliwione drzwi. Woźny przerwał wyplatanie krewniaka z magicznego gąszczu i stanął na palcach, by spojrzeć ponad płotem.

Na ganku stała jakaś starsza kobieta w koszuli nocnej i czepku. Zapewne dziedziczka Paplińska w osobie własnej. Zrazu sprawiała wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwała lub wypatrywała, ale w postawie jej ciała było coś osobliwego, jakaś nienaturalna sztywność.

Pochylała się do przodu bardziej, niż pozwalały na to prawa równowagi, i nie przewracała się ani chwiała.

Lunatyczka, nie lunatyczka? – myślał zdumiony woźny. Dopiero po chwili znalazł najwłaściwsze słowo na określenie tego stanu – „zdrewnienie”... Oznaczało to dwie rzeczy. Pierwsza nie była zła, mianowicie można było robić swoje przy Grześku bez obawy, że Paplińska ich dostrzeże i podniesie larum. Trwała teraz w transie, w którym nie działał wzrok ani słuch, ona czuła tylko ziemię pod stopami i wiatr na twarzy, gdyby akurat powiało. Zdawało się jej pewnie, że jest drzewem lub krzakiem. Byłby to może całkiem przyjemny stan, gdyby nie wiązał się jednocześnie z próchnieniem umysłu... To była druga konstatacja – o wiele gorsza. Wynikało z niej, że żywiołak, który rozrósł się wkoło paplińskiego dworu, nie jest okazem pospolitym w swoim rodzaju, widywanym niemal w każdym mateczniku, lecz nader rzadkim jadowitym roślinolakiem, którego ukąszenie przemieniało ofiarę w istotę mu podobną. Zapewne gdyby lepiej poszukać, znalazłyby się w tym gąszczu zrosnięte z nim w jedno jeże i ptaki. Większe stworzenia prędzej zdychały, niż zdołały przemienić swą naturę ze zwierzęcej w roślinną. Żywiołak obrastający dwór pani Paplińskiej był więc naprawdę groźną bestią, która wszakże zamiast przebywać w głębi najdzikszych puszczańskich ostępów, nieoczekiwanie znalazła sobie miejsce między ludźmi, bez mała w środku wsi. Musiał to być jeden ze skutków zburzenia magicznej równowagi przed dwoma laty.

Teraz było jasne, co stało się z dziedziczką oraz całą jej służbą. Podrapani cierniami przy różnych przypadkowych okazjach, a w istocie pokąsani przez żywiołaka rozkrzewionego niepostrzeżenie wokół domu, utracili wprawdzie duszę ludzką razem z sumieniem, przez co za nic mieli grzeczność i zachowania obyczajne, a także nie lękali się grzechu krzywoprzysięstwa. Nieświadomi tego, co się z nimi dzieje, stopniowo wyzbyli się człowieczeństwa, obecnie zaś zamierała w nich druga dusza – animalna, aż w końcu pozostałaby tylko ta trzecia – roślinna, wegetatywna, licząc według

klasyfikacji Arystotelesa. Ponieważ jednak człowiek rośliną stać się nie może, zbyt wielka jest tu różnica przyrodzonych natur i z jedną tylko duszą żyć nie podoła, w pół tej przemiany nastąpić musi śmierć. Aby dalej żyć, człek musiałby mieć korzenie i liście, inaczej usychał względnie butniał pod wpływem własnych żółci, których cyrkulacja ustawała i które zaczynały gliwieć. Zwykłym objawem była tu choleryczna złość, wywołana uderzeniami żółtej i czarnej żółci do serca lub mózgu. Niekiedy nazywano tę przypadłość „żywiolaczą wściekлизną”.

Innymi słowy, wszyscy mieszkańcy tego domu byli nieodwołalnie skazani. Zapewne niektórzy już byli martwi, tylko miast gnić, próchnieli – stąd to lucyferyczne światło w oknach. Wręczanie pozwu można było sobie darować. Nie było komu. Pół ludzie, pół rośliny, podobnie jak bezrozumni szaleńcy sądzeni być nie mogli.

Teraz z całej tej sprawy należało jak najdosłowniej wypłatać Grzeška, tkwiącego w opłotach roślinnego potwora.

Woźny, nie mówiąc nic, aby chłopaka nie przerazić, zabrał się do uwalniania go ze zdwojoną energią i ostrożnością. Niebawem oswobodził mu jedną rękę, tak że młodzik mógł mu teraz pomóc.

Żywiolak najwyraźniej syt był swych dotychczasowych ofiar. Woźny nie wiedział dokładnie, czym ów stwór się żywi, ale najważniejsze, że nie opierał im się zbytnio. Wkrótce udało się oswobodzić Grzeška od pasa w górę. Co do reszty, woźny kazał mu po prostu wyleźć ze spodni i zostawić je w krzakach. Tak było najszybciej i najbezpieczniej, choć może niezbyt godnie. Deliberować wszakże nie było nad czym, skoro dwie gotowe do ukąszenia kolczaste pascze wciąż się nad chłopakiem kołysały.

– I jakże ja będę konno z gołym zadkiem jeździł? – burczał młokos.

– Tak, jakbyś konie w rzece pławił – odparł woźny. – Ruszaj się, smarku, nie będziemy tu mitrężyć czasu do rana!

Żeby było szybciej, podniósł upuszczony nóż i rozciął chłopakowi obie nogawki, od tyłka do pięt, po czym wreszcie wyprowadził

młokosa ze zdraдлиwego gąszczu, zostawiając w nim resztki portek. Aplikant trybunałski pozostał z gołym zadkiem, pąsowiejąc ze wstydu i upokorzenia. W świetle księżycy wyglądało to, jakby lica pokryły mu się istic apoplektyczną purpurą.

Tymczasem żywiołak najwyraźniej jakoś wyczuł, że go wystrychnięto na dudka. Ze złością potargał na szmaty resztki portek i jął macać za tym, co w nich dotąd tkwiło. Gałęzie jak macki zaczęły badać ziemię, nieomylnie, po sobie wiadomych śladach sunąc ku Grzeskowi. Jedna z nich w kilka uderzeń serca dotarła do samych jego stóp. Młodzik nie wytrzymał i ze złością, całą siłą i ciężarem ciała przydepnął ją obcasem buta, łamiąc z trzaskiem pęd i wciskając go w murawę.

Żywiołak nastroszył się w okamgnieniu i zaszumiał w sposób uderzająco przypominający ludzką mowę. Może to był skutek nadmiaru imaginacji, ale zarówno woźny, jak i jego aplikant usłyszeli przeciągle wyszczane słowo „ssskussswysssyn”. I w tym momencie uderzyła różana paszcza, niewątpliwie bystrzejsza od tarninowej.

Jeżeli Grzesiek myślał, że stoi już w bezpiecznej odległości, to się pomylił. Właśnie się odwrócił, by odejść, gdy zębiska z różanych kolców ucapiły go tam, gdzie kark łączy się z lewym ramieniem.

Chłopak syknął z bólu, a Stanisław, czując tylko przeraźliwie lodowatą pustkę w piersiach, chlasnął bestię nożem, chcąc odciąć wgryzioną w ciało paszczę. Okazało się jednak, że ta ma zbyt twardą szyję, istic jakby z żelaznego pręta zamiast różanego drewna. Ostrze odskoczyło bezsilnie, ale paszcza puściła chłopaka i skoczyła na woźnego. Ten zastawił się trzymanym nożem, a gdy trójkątne kolce chwyciły klingę, puścił rękojeść i odskoczył do tyłu, pociągając za sobą Grzeska.

– W nogi! – krzyknął do aplikanta. – Do koni!

Okazało się, że żywiołak przerósł nie tylko krzewy otaczające ogrodzenie dworu, ale też szmat łąki wokół oraz drzewa przy drodze do bramy. Trawa wokół nich poczęła się stroszyć niczym kolce jeża, nie daj Boże teraz upaść! Z kolei przydrożne wierzby jęły wywijać

konarami, uschlými, obłamanymi końcami godząc w uciekinierów jak oszczepami. Bogu dzięki, że nie miały oczu i biły na oślep, mierząc tam, gdzie wyczuły drżenie ziemi, ale obaj krewniacy zmykali, aż się kurzyło.

– Niej daj się znów zakłuć! – zawołał poniewczasie woźny.

– Wypchajcie się z taką radą! – wydyszał chłopak. – Już mnie pół grzbietu swędzi...

– Niedobrze! – wyrwało się Stanisławowi.

– A czemu niedobrze? – spytał zaniepokojony chłopak.

– Później o tem!

Wybiegli wreszcie poza zasięg mocy żywiołaka i dopadli koni. Grzesiek od razu zabrał się do juków, szukając zapasowych portek. Natomiast Stanisław zaczął krzesać ogień i po chwili przysposobił sobie małą pochodnię.

– Pokaż mi swój grzbiet! – podszedł ze światłem do chłopaka.

– Nic mi nie jest, strytku, ot, zadrapał mnie tylko. Świąd też już jakby słabszy...

– Nie marudź! – zdenerwował się woźny i zajrzał Grześkowi za kołnierz.

Krwi było tylko parę małych zacieków, które wypłynęły z dwóch owalnych szeregów nakłuć. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to groźnie. Zdawało się, że żywiołak dziabnął chłopaka półgębkiem, ale nawet w tak słabym świetle widać było, że skóra wokół ukąszeń zszarzała i już pojawiły się na niej zarysy kory. Dlatego właśnie przestała swędzieć, że zaczął się już proces drewnienia ciała i postępował nadzwyczajnie szybko. Co gorsza, woźny pojęcia nie miał, ile chłopak ma czasu, zanim zmiany staną się nieodwracalne i śmiertelne.

– Dopnij się, ruszamy za Bug! – rozkazał Stanisław, cofając się po oględzinach.

– Nie staniemy na biwak? – spytał Grzesiek, poprawiając kozulę.

– Nie. O świtanu musimy być na przewozie pod Brokiem.

- Czemu tak prędko, stryjk? Co się dzieje?
 - Musimy znaleźć dla ciebie wiedzącego człeka, i to szybko – woźny postanowił nie ukrywać prawdy. – Ten żywiołak był jak wściekły pies...
 - Znaczy się, co mi będzie? – chłopak pobladł.
 - Wilkołaki, wampiry i ghule mnożą się, kęsając żywych ludzi i zadając im swój jad do krwi. Roślinne żywiołaki mają tak samo, a ten cię właśnie ukąsił.
 - Zamienię się w drzewo?
 - To byłoby pół biedy. Skonasz, zanim do tego dojdzie, tylko że dalej, zamiast gnić, będziesz butwieć i może być, że grzybem jakimś porośniesz.
 - Jezusie!
 - Nie jęcz! Trzeba nam prędko znaleźć kogoś dobrze obytego z puszcza i jej najtajniejszymi sprawami.
 - Może wróćmy się do Korzenia? Może pradziad Jakub co poradzi?
 - Nie poradzi. Wspominał mi kiedyś, że on arkanów żywiołaczej magii mało świadom. Musimy ratunku dla ciebie w puszczach za Bugiem, wśród tamtejszych Kurpiów szukać.
 - A jak nie znajdziemy?
 - No to będzie bieda – powiedział cicho Stanisław.
- W duchu zaś się zadumał, czy aby klątwa jakaś nad nim samym nie ciąży, skoro tak prędko i łatwo przyszło mu stracić kolejnego aplikanta. Konkluzji wołał nie szukać. Tylko zacisnął zęby, dosiadł Grocha i ruszył gościńcem na Brok.
- Dopóki się da, należało zapomnieć o śnie i pędzić naprzód! Sprawy trybunalskie przestały być teraz najpilniejsze.